

## Jan Madziara (Rodziny katyńskie, Poznań)

– Transkrypcja wywiadu przeprowadzonego w 2019 roku dla Biblioteki Raczyńskich w ramach cyklu: "Historia Mówiona". Rozmawiał Piotr Bojarski.

**Piotr Bojarski:** Panie Janie, kim byli pana rodzice? Skąd pochodzili, gdzie się urodzili?

**Jan Madziara:** Moi rodzice należeli do pokolenia, którego plany życiowe zreformowały dwie wojny światowe. [uśmiecha się] Mój ojciec pochodził z Małopolski, zwanej wtedy Galicją, bo to był zabór austriacki. No i w momencie wybuchu I wojny światowej, był studentem 3 roku Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. No ale tak jak wszystkich Polaków, we wszystkich zaborach, wcielono go oczywiście do armii. Ponieważ mój dziadek dzierżawił wtedy majątek Przytkowice w powiecie wadowickim, więc mój ojciec wylądował w pięćdziesiątym szóstym pułku wadowickim armii austriacko węgierskiej. To trochę tak brzmi, ale to był prawie całkowicie polski pułk. W tym pułku służył np. Karol Wojtyła senior, ojciec naszego papieża, jeszcze jako podoficer. A dowódcą tego pułku, był brat mojego dziadka. A służyli tam ludzie, którzy mieszkali w najbliższej okolicy. Ponieważ mój ojciec był już studentem, został wysłany do szkoły oficerskiej na krótkie przeszkolenie, a potem z tym pułkiem wyruszył na front. Akurat na tę kontrofensywę austriacką w rejonie Görlitz. Ten pułk zdobywał akurat taką kluczową pozycję – Wzgórze Pustki pod Gorlicami, gdzie w 2015 roku odbyła się duża państwowa uroczystość 100-lecia tejże bitwy. Na szczęście przeżył tę bitwę, no i całą I wojnę światową. **(02:16)**

Ale jak wojna się kończyła, to – najpierw właśnie w Małopolsce, władzę przejęli Polacy. Ten mój stryjeczny dziadek został pierwszym polskim dowódcą Krakowa, a mój ojciec zgłosił się do Legii Oficerskiej. To była organizacja, która tworzyła polskie wojsko. No i znowu – już wtedy jako podporucznik, został skierowany do Wadowic, do 12-tego, już wtedy polskiego pułku. No i z tym pułkiem zaraz wymaszerował na kolejne fronty. Najpierw na czeski, a potem na odsiecz Lwowa, a potem już niewielka przerwa do wojny zwanej bolszewicką, kiedy przeniesiony do 144 pułku strzelców kresowych, bronił Lwowa przed armią Budionnego. W pierwszych dniach sierpnia, kilka dni przed naszą kontrofensywą znad Wieprza, ojciec został ranny i przewieziony do szpitala do Przemyśla. Jak został wyleczony, to już się wojna skończyła, ale ojciec nie występował jeszcze z wojska, ponieważ sytuacja nie była wcale taka wyjaśniona, tylko dostał urlop na dokończenie studiów. Ukończył te studia, dostał doktorat prawa i w międzyczasie został przeniesiony z korpusu Oficerów Piechoty, do Korpusu Oficerów Sądownictwa i podjął służbę w sądach. **(04:04)**

1926 roku został mianowany sędzią śledczym przy wojskowych sądach. W 1931 roku został kierownikiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Gnieźnie. Ożenił się z moją mamą, która pochodziła z przeciwnej strony Polski, bo z Pomorza. Ale mama kończyła tu Germanistykę i

uczyla jako nauczycielka w Poznaniu. W związku z tym, ojciec wybudował dom w Poznaniu, an ulicy Szelałowskiej. Niedługo potem, ja się urodziłem, i to taki dziwny zbieg okoliczności – akurat w budynku, w którym Stowarzyszenie Katyn odbywa teraz zebrania. Bo na Kościuszki był przed wojną szpital wojskowy. [uśmiecha się]

**PB:** Pan urodził się w roku 32., tak?

**JM:** Tak, w 32.

**PB:** Był pan jedynym dzieckiem?

**JM:** Byłem jedynym dzieckiem, no i całe dzieciństwo na tej ulicy Szelałowskiej spędziłem.

**PB:** Może pan by powiedział króciutko o tym Szelałgu słynnym? Bo się mówiło, że to taka ekskluzywna dzielnica była...

**JM:** Za moich dziecięcych czasów, to się właściwie dopiero budowało, te wszystkie domy były stawiane. Natomiast na samym Szelałgu, był ogród i restauracja Bractwa Strzeleckiego, gdzie odbywały się różne imprezy. Ja z mojej młodości pamiętam tylko wspaniałe uroczystości wianków na Warcie, a także zawody pływackie, które się w Warcie odbywały, to obserwowałem właśnie z tych stoków, na których nasz dom stał. Ponieważ byłem jedynakiem, w sąsiedztwie nie miałem żadnych kolegów, szybko się nauczyłem czytać i pisać. W związku z tym rodzice podjęli decyzję, że pójdę rok wcześniej do szkoły. Tak że w 38' roku rozpocząłem naukę w Poznaniu, na ulicy Wszystkich Świętych. W szkole podstawowej, gdzie uczyła moja mama. (06:40)

W 1938 roku, ojciec został awansowany do stopnia majora, a kilka miesięcy później, przeniesiony do sądu wyższej instancji, do sadu okręgowego, ale w Brześciu nad Bugiem. No i tu był o tyle problem, że tu miał dom i rodzinę, a tam musiał wynajmując tymczasowe mieszkanie i rzadko bywał w domu. Pamiętam, że jak przyjeżdżał na krótkie urlopy, to trudno mu było się ode mnie uwolnić, nawet zabierał mnie na spotkania ze swoimi przyjaciółmi, które się odbywały, jak tylko przyjeżdżał. Na placu Wolności, w tym wejściu, gdzie było najnowocześniejsze kino Słońce, prowadził restaurację zanany restaurator Józwiak, [mówi uśmiechając się] i tam się ci panowie umawiali i ja dostawałem tam to co sobie wybrałem, z karty, byle bym się nie odzywał i nie przeszkadzał panom w dyskusji. No a panowie toczyli rozmowy, no zwłaszcza na temat sytuacji politycznej na świecie, która była wtedy bardzo napięta. Było to dla mnie, powiem to uczciwie, dosyć zaskakujące przeżycie. W szkole nauczono mnie takiej piosenki, że „nikt nam nie weźmie nic, nikt nam nie zrobi nic, bo z nami, z nami Śmigły Rydz”, a tu z tych rozmów męskich, wcale nie wynikała taka pewność natychmiastowego zwycięstwa nad Niemcami.

**PB:** A co wynikało z tych rozmów?

**JM:** Ci panowie byli wątpięcymi, czy w sytuacji naszego uzbrojenia, naszej organizacji, damy radę powstrzymać na tyle długo, zanim nasi alianci zdążą zareagować. Nie wiedzieli niestety, że alianci w ogóle nie zareagują praktycznie. (09:15)

W 39' roku, ponieważ nie było urlopów w wojsku, moja mama zaprosiła swoją mamę, czyli moją babcię, która mieszkała w Grudziądzu, żeby przyjechała tu, do naszego domu, a mnie wzięła i pojechaliśmy na całe wakacje do Brześcia nad Bugiem. Jak się kończyły wakacje, sytuacja była widocznie coraz bardziej napięta, ale matka, nauczycielka musiała przecież przyjechać podjąć pracę. I uzgodniła z ojcem takie postępowanie, że na razie mnie zostawi u ojca, bo to przecież daleko od frontu i przyjedzie po mnie w jakąś kolejną niedzielę. Natomiast gdyby wybuchła wojna, to Łucku mieszkał brat ojca, i ojciec poprosi moją stryjenkę, żeby mnie wzięła do siebie i się mną zaopiekowała. No matka oczywiście nie dotarła już do Poznania, bo linie kolejowe były zajęte przez transporty mobilizacyjne i wojskowe. Utknęła gdzieś pod Kutnem, w jakimś majątku. Przeczekała bitwę i pomogła właścicielowi majątku w pierwszych kontaktach z zaborcą, bo знаła język. No i w końcu dojechała do Poznania. Natomiast próby kontaktu ojca z Łuckiem spęły na niczym. W związku z tym, ja chodziłem z ojcem do twierdzy brzeskiej, gdzie służył, zostawiał mnie w klubie oficerskim, prosił personel, żeby na mnie miał oko, a ja sobie myszkowałem po tej twierdzy, a jak był nalot, to uciekaliśmy wszyscy do dolnych kondygnacji. **(11:25)**

Z początku właściwie nie było obrony przeciwlotniczej, a tymczasem Niemcy często robili naloty z Prus. Nie tylko na twierdzę, ale również na miasto. Właściwie jedyną obroną – co pamiętam z komentarzy, był CKM z twierdzy, który próbował ich odstraszyć, ale oni latali tak nisko, że widzieliśmy czasami sylwetki pilotów. Dopiero jak wódz naczelny wyjechał z Warszawy do Brześcia - to było w nocy z 6 na 7 września, co wiem z późniejszych lektur, to ojciec mi powiedział, gdzie nie wolno chodzić, bo to strefa dla VIP-ów powiedzmy - to wtedy się pojawiło działko przeciwlotnicze, produkowane przez nas na licencji, i taki młody porucznik z załogą je obsługiwał. Następnego dnia drugie działko, więc jak jedno się zagrzało, to przeskakiwali na drugie. I wtedy Niemcy musieli już zachowywać większy dystans w tych nalotach. **(13:00)**

**PB:** Widział pan fizycznie Rydza Śmigłego?

**JM:** Nie, nie miałem okazji. Ale krótko potem, on ruszył dalej, a myśmy czekali na dalsze rozkazy, co sąd ma robić. Sądę, że koło 11 września, przyszedł nakaz ewakuowania sądu w kierunku południowo-wschodnim. Policja podstawiała autobus i kierowcę, załadowano jakieś dokumenty, oraz personel tego sądu. Oprócz mnie, w tym autobusie, którym ruszyliśmy na wschód, było jeszcze dwóch czy trzech oficerów, którzy mieli rodziny. Szybko się okazało, że we dnie się nie da jechać, bo Niemcy, nawet po zrzuceniu gdzieś tam bomb, jeszcze latali nad szosą i strzelali z karabinów maszynowych, a myśmy musieli uciekać. Tak że podróż dalsza odbywała się raczej nocą.

**PB:** Przeżył pan taki nalot?

**JM:** Taak! Oczywiście, uciekałem, w ziemniakach żeśmy się chowali.

**PB:** Jako mały chłopiec mocno pan to przeżył? Bał się pan?

**JM:** No wie pan, to był jeden ciąg stresu, który się zaczął zresztą wcześniej. Taki był incydent w samym Brześciu. Przecież ja miałem same letnie rzeczy. Ojciec zabrał mnie do sklepu Bata i chciał mi kupić buty, takie bardziej typowe na jesień. I nagle bez zapowiedzi nalotu, nadlecieli Niemcy. I pamiętam huk, ojciec mnie złapał i skoczył pod taki filar, który na środku sklepu podtrzymywał sklepienie. Ściana za sprzedawcą się posypała na ladę, jak się potem okazało, bomba zeszła po tej ścianie i nie wybuchła. No bo jak by wybuchła, to byśmy tu dzisiaj nie rozmawiali. **[śmieje się] (15:18)**

Jak żeśmy wyszli z tej ruiny sklepu, to w okolicznych bramach leżały trupy ludzi, nie wiem jak to się stało, że warstwowo, nie pionowo, tylko warstwowo leżeli. Obok stała staruszka nad wielką dziurą w ziemi i płakała, że tu przecież przed chwilą, bo ona wyszła na zakupy, że tu cała rodzina jest w tym dole. Zabudowa Brześcia była taka różnaita, nie tylko kamieniczki, ale i domy drewniane. Nic z tego nie zostało. Tak że ten stres już się wtedy zaczął. Te szosy pełne trupów koni, bo zwłoki ludzkie usuwano. Tak dojechaliśmy do Łucka. Tam się okazało, że mieszkanie stryjostwa jest zamknięte, a sąsiedzi nie wiedzą, gdzie oni się udali. Jak się później okazało, stryj oczywiście się zgłosił w ramach mobilizacji. I chociaż z legionów został zwolniony ze względu na wadę serca, a stryjenka z dwoma młodszymi ode mnie córkami, bała się sama zostać i przeniosła się do siostry. No ale ponieważ nie było kontaktu w Łucku, musiałem jechać dalej tym transportem. Tak zajechaliśmy do Zaleszczyk. W tych Zaleszczykach, tuż przed mostem, komendant sądu, który był szefem tego transportu, po rozmowie ze strażą graniczną, wrócił i powiedział mniej więcej tak:

- Panowie oficerowie, jako jednostka nie możemy przekroczyć granicy, bo nie jest otwarta, natomiast zachęcam, zwłaszcza tych, którzy mają rodziny, żeby się przebrać w cywilne ubranie i można przejść do Rumunii. **(17:35)**

No ale jaki oficer, w czasie wojny i walki z przeciwnikiem, skorzysta z takiej okazji? Dopiero dwa dni później, przez sąsiednie przejścia, wódz naczelny przejechał ze sztabem. A myśmy mieli taki problem, że było tak tłoczno **[na drogach]**, pełno sprzętu, różnych pojazdów po tej stronie, że autokar nie miał jak zawrócić. W związku z tym, myśmy wysiedli, autobus przez ten most w Zaleszczykach przejechał na drugą stronę, tam był taki placzyk, na którym on zawrócił, przyjechał, załadowaliśmy się z powrotem do autobusu i pojechali dalej w kierunku wschodnim. Zajechaliśmy do Równego. To już takie miasto, blisko wschodniej granicy. Tam również żadnych rozkazów, żadnych poleceń nie było, no to komendant podjął decyzję, wyjechaliśmy jeszcze dalej na wschód, szosą z Równego, kilkanaście kilometrów, nie wiem ile, i skręciliśmy parę kilometrów na północ, do takiej wsi, gdzie było duże gospodarstwo polskiego kolonisty. Żołnierze z pierwszej wojny, otrzymywali po parę hektarów tam na tych ziemiach, i mieli tam szerzyć kulturę rolną z naszych stron. No i to było właśnie tego typu gospodarstwo, miał bardzo dużą stodołę, w której cały ten nasz transport się zmieścił. **(19:20)**

Nie wiem czy to było następnego dnia, czy jeszcze jeden dzień później, ale zrobił się straszny ruch w powietrzu. Ale ponieważ ja, mimo młodego wieku byłem zafascynowany lotnictwem, więc stwierdziłem, że to nie są polskie samoloty. Wspomniałem o tym lotnictwie – proszę sobie wyobrazić, że – jeszcze wracam do 39’ roku – jak usłyszałem w radio, że utworzono Fundusz Obrony Narodowej, to poszedłem do mamy i oświadczyłem, że moje oszczędności na książeczkę PKO, które ciulałem na rower, przeznaczam na FON. No to mama zdziwiona, ale zadowolona, zawiozła mnie na plac Wolności, gdzie PKO było akurat tam gdzie dzisiaj jest, no i przekazaliśmy te moje dwadzieścia parę złotych [mówi śmiejąc się] na FON. Byłem tylko rozczarowany, bo pytam potem mamę, czy starczy na samolot? [śmieje się] Musiała mnie wyprowadzić z błędu. No ale tak się do dzisiaj zastanawiam, dlaczego chłopczek po pierwszej klasie uważał, że samolot to jest najważniejsza część uzbrojenia, a myśmy dalej stawiali na kawalerię. No ale znalazłem wytłumaczenie potem, dlaczego tak się stało. No w każdym razie wtedy, na tej wsi, kiedy te samoloty zaczęły latać, nie było żadnej informacji, bo ani Czerwona Armia nie przeszła przez tę wieś, nic. No ale komendant sądu wysłał młodszych oficerów prywatnym samochodem uciekiniera, który też się zatrzymał w tym samym gospodarstwie. Podjechali do głównej szosy zobaczyć co się dzieje. No i wrócili z taką informacją, że Armia Czerwona weszła na te tereny, żeby zabezpieczyć ludność przed hitlerowskim najazdem i zabezpieczyć przed wkroczeniem tu Niemców. **(21:46)**

No dobrze, to jak taka sytuacja, to komendant stwierdził, że nie ma co dłużej czekać, tylko się na następny dzień rano załadowaliśmy do autobusu i jedziemy z powrotem do szosy. A na szosie już ciąg różnych jednostek naszego wojska, ze wschodu ciągną w kierunku Równego. Ale regulowali już ruch radzieccy żołnierze, i oczywiście przepuszczali już swoje jednostki jako pierwsze, więc to trwało długo. Myśmy jechali kawałek, później znowu stawali. Przed nami akurat jechała grupa poznańskiego pułku lotniczego. Ojciec nawet wyszedł na którymś postoju, zapytać, czy nie ma tam mojego kuzyna, bo mój kuzyn, jeszcze w liceum, zrobił uprawnienia w pilotażu, w związku z tym został zmobilizowany chociaż nie miał 18 lat. Ale nie było go w tej części tego oddziału. I tak, powoli posuwaliśmy się w kierunku Równego. Mijaliśmy ze dwa albo trzy wielkie obozowiska Armii Czerwonej w polu. Oni tam sobie grzali puszki w ogniskach, nam przyjaźnie kiwali, wszystko wyglądało na jakiś taki układ neutralny. Dopiero jak wjechaliśmy do Równego, zauważyliśmy trupa policjanta. No to ojciec kazał natychmiast kierowcy zerwać epolety z jego munduru. Mundur nie był granatowy, tylko letni, taki piaskowy. Jeszcze kawałek ujechaliśmy, a tam już kolejno, na takiej szosie wjazdowej do centrum, zatrzymywano kolejne jednostki, rozbrajano i sadzano na trawniku wzdłuż drogi. To samo i nas spotkało. **(24:08)**

Musielismy wysiąść, usiąść na trawniku, autobus zrewidowano, broń odebrano. Autobus odjechał, a myśmy siedzieli tam do późnych popołudniowych godzin. Kiedy zaczął zapadać powoli wieczorny zmierzch, nagle poderwano wszystkich, i ta kolumna obstawiana w częściach przez strażników, ruszyła w kierunku centrum. W tym momencie oficer



prowadzący tą moją część grupy, zauważył, że ja tam wzrostem nie pasuję i powiedział, że ja tam nie mogę iść. Kazał ojcu przekazać mnie pod opiekę przypadkowo przechodzącej kobiecie. Ojciec zdążył tylko napisać na kartce moje dane i adres stryjostwa, z prośbą, żeby powiadomiła stryjenkę, żeby mnie odebrała. Dał jej jakieś pieniądze i moją walizeczkę z rzeczami. Oni odmaszerowali, a ja z tą panią poszedłem z powrotem na przedmieścia, gdzie ci państwo mieli domek z ogródkiem. Jak się okazało, mąż tej pani był listonoszem i dorabiał jeszcze jako szewc trochę. No i tam u nich na razie zostałem. Ale niedługo, ponieważ po paru dniach przyszła jakaś pani i mnie zabrała do miasta, do dużego mieszkania. Co się potem okazało? Kolumna szła do więzienia, gdzie tworzone spisy internowanych, no bo przecież wojny nie było, trudno mówić o jeńcach. Ojciec oczekując na spis, znalazł się w celi ze starostą Równego, do którego przyszła żona. Ojciec jej również dał kartkę z namiarem na mnie i na tę panią. Stamtąd mnie odebrała i ja u niej dalej czekałem na przyjazd stryjenki. I po paru dniach ta moja stryjenka przyjechała. Widocznie była sprawdzić co się dzieje w domu i znalazła korespondencję. **(27:00)**

Przyjechała po mnie, ale nie pojechaliśmy zaraz, tylko panie jakoś zorganizowały w mieście trochę żywności, jakiś chleb, jakieś masło, załadowaliśmy w tę moją walizeczkę i poszliśmy gdzie? Do parku. Bo jak się okazało, więzienie w Równem nie mieściło tak dużej ilości zatrzymanych, w związku z tym, Rosjanie ogrodzili po prostu kawałek parku zasiekami z drutu kolczastego, wykopano jakąś latrynę w kącie, i ci nasi internowani spędzali tam te dni, na trawniku w parku. Pani nie chcieli wpuścić strażnicy, ale jakoś mnie, po zrewidowaniu przepuścili, tak że wszedłem również do tego obozu, i spędziłem z ojcem te ostatnie chwile siedząc przy takim ognisku, które sobie tam panowie palili i zaniósłem mu rzeczy, które te panie zdobyły. Nie pamiętam oczywiście wiele z tego, ale utkwiała mi tam jedna rzecz. Bo panowie mocno dyskutowali nad swoim położeniem. I pamiętam, że jeden z oficerów powiedział:

– Lepiej, że jesteśmy u Ruskich, bo to przecież Słowianie. - Nie wiedział, że tym razem się pomylił. Na drugi dzień poszliśmy znowu z jakimś zakupem, ale już nas nie wpuszczono. Ojciec zdążył nam krzyknąć:

– Jutro nas gdzieś wywożą.

No i to był taki ostatni kontakt, już teraz wzrokowy, z moim ojcem. **(29:00)**

Pojechaliśmy wtedy już ze stryjenką do Łucka i czekaliśmy na stryja, który się po paru dniach pojawił i podjął działania w kierunku uzyskania dla mnie przepustki. Aby w transporcie uciekinierów z zachodniej części kraju, mógł przejechać z powrotem pod opiekę matki. Trwało to dosyć długo, ale udało mu się to załatwić. I załadowali mnie gdzieś tam pod koniec stycznia do transportu w Łucku. Oczywiście to były wagony towarowe, innych nie było. I myśmy z Łucka do granicy, czyli jakieś 150 km jechali 3 dni. No bo znowu – wojskowe transporty, się więcej stało jak... 2 lutego, zima była wtedy bardzo mocna, olbrzymie śniegi. Rankiem słońce pięknie świeciło, minęliśmy Bug, i tego ostatniego

sołdata, który stał po tamtej stronie i wjechaliśmy do Chrubieszowa. Transport stanął... no ale ludzie, którzy byli... ja z takim kartonikiem [pokazuje na klapę marynarki] na szyi, z adresem.. Tam się mną opiekowali w tym czasie.. [szuka słowa] współewakuowani.

[CIĘCIE] 2 lutego 40' roku, w piękny słoneczny dzień, ogromne zasy śniegu, zima bardzo ostra, transport uciekinierów przekroczył Bug i wjechaliśmy na stację w Chrubieszowie. Po jakiejś chwili, ludzie będący przy drzwiach, stwierdzili, że kogoś szukają. Po dłuższej chwili, jak ten patrol niemiecki doszedł do mojego wagonu, to się okazało, że szukają mnie.

**(31:30)**

Cały byłem przerażony, bo o Niemcach miałem wyobrażenie, jako o tym największym wrogu. No ale zabrali mnie z tego wagonu, razem z moją walizeczką i zaprowadzili mnie na wartownię. Tam posadzili mnie między skrzynką granatów a stojakiem na broń. Kazali czekać. Na szczęście ja trochę rozumiałem po niemiecku, ponieważ moja babcia właściwie nawet nie nauczyła się dobrze po polsku, aż do wybuchu wojny. [mówi ze śmiechem] Trwało to może 20 minut, może pół godziny, i na dworzec zajechała karetka, sanitarka wojskowa. A z tej sanitarki wysiadła moja mama. Jak się okazało, mama powiadomiona przez stryjostwo, że wsadzają mnie do takiego to, a takiego transportu, wsiadła bezczelnie do wagonu „Nur für Deutsche”. Nawiązała dzięki swojemu językowi rozmowy z niemieckimi oficerami tam jadącymi i wybrała sobie jakiegoś pułkownika, który jej się wydawał bardziej uczciwym człowiekiem, i jak się okazało trafiła dobrze. Był to bowiem komendant szpitala wojskowego w Chrubieszowie, który nie dość [mówi uśmiechając się] że wiozł mamę właściwie bez przepustki w strefę nadgraniczną, to jeszcze siostrom w szpitalu kazał przygotować mamie łóżko i mama na mnie 3 dni w tym Chrubieszowie na mnie czekała. Tak oto wróciłem w objęcia mamy, i pojechaliśmy wtedy zaraz, no z różnymi jeszcze po drodze przygodami, bo tego pociągu nie wolno było na polskich stacjach wysiadać [mówi uśmiechając się] ale jakoś bezczelnie wyzywając tych co na nas krzyczeli, żeśmy wysiedli i dojechaliśmy do siostry ojca, która w tej wsi, w której dziadek kiedyś dzierżawił majątek, a potem, jak właściciel tych okolicznych majątków zaczął je wyprzedawać – kupił folwark i tam rezydowała najstarsza siostra mojego ojca, tam żeśmy się zatrzymali. **(34:10)**

Matka w międzyczasie, będąc jeszcze w Poznaniu, otrzymała przesyłkę ze stalagu. Cóż się okazuje – polski podoficer, który jako pochodzący z Poznania, też został wydany przez Rosjan Niemcom. Myślał, że wróci do Poznania ale nie – Niemcy ich wszystkich od razu zawieźli do stalagu i używali jako robotników potem na swoim terenie. I ten właśnie pan, napisał do mamy, że spotkał ojca w Szepietówce. To był taki obóz przejściowy, gdzie spisywano ich wszystkich i znowu rozdzielano między różne obozy. Między Ostaszków, Kozielsk i Starobielsk. To była taka informacja, która pochodziła z listopada. Następne informacje przychodziły na adres tego stryja, do Łucka. To była kartka napisana przez ojca w listopadzie i w grudniu. Ale ojciec musiał już dostawać informacje zarówno od stryjostwa jak i od mojej mamy, bo ostatnia wiadomość od ojca, to był telegram do Przytkowic, właśnie tam do tej siostry nadany, a już w kartce do stryja pisał, że się cieszy, że ja jestem

już pod opieką mamy, czyli informacje do niego dotarły. No i po tym telegramie zapadła oczywiście cisza. **(36:06)**

**PB:** A telegram był z jakiego dnia? Jaka data?

**JM:** Z marca. [1940 roku] Długi czas nie było nic wiadomo, no aż do sprawy, kiedy Niemcy nagłośnili Katyń. Oni o Katyniu już byli poinformowani rok wcześniej, zresztą też przez Poznaniaka, pana Rubasińskiego, który był włączony do brygady TOT [fonet36:42] tej budowlanej, ale wtedy im nie zależało na nagłośnieniu. Dopiero jak się potknęli pod Stalingradem, to próbowali zmienić nasze nastawienie do siebie i próbowali to politycznie rozegrać. Na liście ojca nie było, bo w Katyniu leżał Kozielski, a ojciec był w Starobielsku. No były to już poważne obawy, co się stało, ale przecież część oficerów ocalała. Chyba 480 oficerów ocalało z różnych obozów i znalazło się np. w armii Andersa. Zawsze ta nadzieja była, że może i ojcu się udało. Ponieważ nie było jeszcze żadnych wiadomości ze strony tych, którzy ocalili, to zawsze jeszcze mama liczyła, że może być w łagrze. Bo też takie wieści chodziły. No i praktycznie do końca żeśmy... no oczywiście z biegiem lat ta nadzieja gasła. Ale pierwsza informacja, taka konkretna, to było przyznanie się Gorbaczowa, że to oni zrobili. I wręczenie prezydentowi Jaruzelskiemu pierwszych akt. Bo ze Starobielska mamy jedynie wykaz jeńców. I tam mój ojciec właśnie figuruje. **(38:23)**

Zresztą w ogóle nie było wiadomo, gdzie oni są pochowani. O ile o Katyniu było już coraz głośniejsze, chociaż ta pamięć była przechowywana, mimo usiłowań władzy, żeby wyciszyć sprawę, to jednak docierały do kraju wydawnictwa z zachodu. Ludzi którzy cudem ocalili i którzy byli tam do ostatniej chwili. O tyle ze Starobielska nie było żadnych informacji. Ale Rosjanie wykorzystywali również nasze firmy do celów inwestycyjnych na swoim terenie. I bodajże nasz Energopol, budował coś w rejonie Charkowa. I pracownicy tej firmy dowiedzieli się od miejscowych, że w lesie pod Charkowem ziemia wyrzuca czasem jakieś rzeczy i między innymi polskie guziki.

**PB:** Który to był rok?

**JM:** To był rok 89' ... chyba. [sięga po papiery na stole] Zresztą mam tu zdjęcie, które przywiózł nam redaktor naszej gazety. Świętej pamięci redaktor. [czyta tekst na odwrocie zdjęcia] Lipiec 89' rok. To jest zdjęcie [pokazuje do kamery] głazu i pierwszej wiązanke, na tym miejscu gdzie prawdopodobnie leżą nasi. Bo to były tylko domysły.

**PB:** I co z tymi doniesieniami Energopolu?

**JM:** W związku z tym, nasza Rada Pamięci Walk i Męczeństwa, z panem Przewoźnikiem sekretarzem, podjęli działania w kierunku umożliwienia nam sondażowych wykopów i badań. Było to bardzo trudne, bo przecież mimo oświadczenia Gorbaczowa, bardzo wielkie grupy decydentów radzieckich, byli przeciwni temu co on zrobił. I dalej szli w zaparte, że to nie oni i że to jest fałszywa wiadomość. Oni chcieli wymazać tę sprawę ze swojej historii. **(41:08)**



No ale św. pamięci pan Przewoźnik, miał wyjątkowe umiejętności dyplomatyczne, potrafił naprawdę załatwić rzeczy niemożliwe. No i w końcu doprowadził do tego, że w 91' roku, wyznaczono na 3 czy 4 tygodnie, na możliwość zrobienia badań w tym terenie. No a jak ten teren wyglądał, to widać na zdjęciu. Las i kompletnie wszystko zarośnięte. Mało tego, stale występowały trudności techniczne. A to nie można było dowieść ludzi - bo to wojsko kopało, a to znowu jakieś przeszkody innego typu występowały. No tylko właściwie znowu dzięki dyplomatycznym umiejętnościom prokuratora Śnieżki, który wtedy tę sprawę prowadził, w ogóle odkryto piętnaście grobów. Z tego tylko dwa polskie. Bo w Charkowie jest tak, że nasi oficerowie, byli kładzeni między grobami wcześniej zamordowanych Rosjan. To było takie miejsce, gdzie charkowskie NKWD, miało wysypany żużlem dojazd, żeby ciężarówki nie utonęły w tym lesie, i tam swoich obywateli już od lat 30' kładli. No a jak przyszło do likwidacji obozu starobielskiego, to trzeba było w te przerwy, w te luki wykopać znowu doły i pochować. **(43:05)**

No ale to już był ślad, że to już faktycznie jest to miejsce. Potem trwały przygotowania i negocjacje. W międzyczasie rozpadł się Związek Radziecki, w związku z tym, trzeba było teraz zacząć negocjacje z Ukrainą, bo w międzyczasie Charków został ukraiński. No i w 94' roku pojechała już mocna ekipa pod wodzą profesora Koli z Torunia, archeologa. No i fachowo podeszli, jak to archeolodzy – mają już opanowaną tę sprawę – zbadali cały teren tego cmentarza. I przez 3 lata, prowadzono tam prace ekshumacyjne, odkryto ponad 3800 ciał Polaków, ale różnych, bo nawet odkryto resztki ciał kobiet. Więc pewnie jakieś rodziny Polaków też tam były wspólnie pochowane. Ja akurat miałem to szczęście, że akurat byłem w Zarządzie naszego Stowarzyszenia odpowiedzialny za Starobielsk, więc w 91' roku, w sierpniu, pojechałem z delegacją rządową na zakończenie tych pierwszych prac ekshumacyjnych. Pracownicy Energopolu przygotowali tam wszystko, nawet nam krzesła poustawiali w tym lesie. Wtedy odprawiał mszę biskup Głódź, który był wtedy kapelanem wojskowym. Delegacja rządowa, to był wtedy pan Lech Kaczyński, wówczas pracownik sekretariatu prezydenta Wałęsy. No i minister Żabiński z ramienia rządu. **(45:28)**

To był jednodniowy wyjazd. Po tej uroczystości podjęto starania o kontynuowanie prac ekshumacyjnych, a także, by można było wybudować tam cmentarze. No i tu znowu talent pana Przewoźnika dał o sobie znać, że mimo różnych oporów, przerw w tej działalności, doszło do tego, że te cmentarze zostały zbudowane. Byłem jeszcze dwa razy w Charkowie. W 98' roku został przez wojsko zorganizowany dla rodzin specjalny pociąg - bo tam jest szeroki tor. Jechaliśmy z Olkusza. Była uroczystość wmurowania kamienia węgielnego. A w 2000 roku byliśmy, wtedy już z żoną, na poświęceniu tego cmentarza. Wtedy premier Buzek nas reprezentował jako przedstawiciel rządu. Brał też udział w tej uroczystości premier Ukrainy. Oczywiście przywoziłem z tej pierwszej wyprawy ziemię stamtąd; kto inny był w Katyniu, kto inny był w Miednoje – wszyscyśmy poprzywozili ziemię z tamtych grobów. W międzyczasie, od razu po rozeznaniu tutaj sprawy Charkowa, jako Stowarzyszenie Katyń, które powstało w 89' roku – najpierw nas przygarnęli Jezuici, podjęliśmy działania w oparciu o wojsko i podjęliśmy starania o budowę pomnika. **(47:50)**

To był okres, kiedy władza starała się nam nie przeszkadzać. Dzięki panu Wituskiemu - prezydentowi Poznania, udało nam się od razu uzyskać miejsce, tam gdzie teraz stoi, czyli w Ogrodzie Różanym przy Zamku. Powołaliśmy Komitet Budowy Pomnika. Ponieważ żona jest plastykiem i zna te sprawy - zgłosiła, że może napisać akt erekcyjny, bo wie jak to zrobić, no to ją też zaraz wciągnęli do tego Komitetu. Ja postarałem się o wykonanie odpowiednich urn na tę ziemię, którą żeśmy poprzywozili z tych obozów. Żona przekonała pana pułkownika, który był delegatem do tego Komitetu, że z gilzy zrobili taką właśnie tubę na ten akt erekcyjny. No i wojsko znalazło nam taki wielki głaz, który przywieźli tutaj, i tam była tabliczka, że w tym miejscu stanie pomnik. No to ponieważ żona też się na tym zna, to myśmy opracowali regulamin konkursu na pomnik. Ogłosiliśmy wtedy ten konkurs jako zamknięty. Chodziło nam o to, by twórcy bardziej zaangażowani w pomniki panujących ówczesnie [mówi śmiejąc się] raczej się w to nie angażowali. No i dzięki moim kontaktom z Muzeum Wojskowym, pan Tadeusz Jeziorowski, kierownik muzeum, urządził nam wystawę tych projektów i przygarnął Komisję, która wybierała projekt. Jako Stowarzyszenie wydrukowaliśmy cegiełki i przystąpiliśmy do zbierania funduszy. (50:23)

Niestety w późniejszym okresie sprawy się trochę skomplikowały, bo Rada Miasta miała zastrzeżenia co do miejsca posadowienia pomnika. Uznano, że ostatni cesarski zamek w Europie jest rzeczą istotną i na tym tle powstały nieporozumienia. No ale po jakimś czasie udało się to pokonać. Lata już minęły, a myśmy nie mieli tyle pieniędzy, w związku z tym powstała kolejna koncepcja, żeby wspólnie z Sybirakami to zrobić. Myśmy już wtedy nie działali w Zarządzie, więc teraz mi trudno powiedzieć, jak to dalej poszło, ale sprawa została zrealizowana, pomnik stoi do dzisiaj.

**PB:** Stoi jako Pomnik Ofiar Katynia i Sybiru. Został odsłonięty w 97'?

**JM:** W tej chwili tej daty nie pamiętam, bo ja już nie byłem w to zaangażowany.

**PB:** Rozumiem. Proszę mi powiedzieć jeszcze – wracając do tego pana osobistego wątku, związanego ze Starobielskiem, z miejscem pochówku pana ojca, bo tam były ekshumacje i jakieś działania identyfikacyjne – czy udało się znaleźć szczątki?

**JM:** Nie, nie udało się. W ogóle z tych wszystkich ciał, które tam wydobyto, udało się około 200 osób zidentyfikować, ze względu na jakieś posiadane papiersońce, czy jakieś inne rzeczy. Przecież oni co chwilę byli rewidowani, pozbawiani różnych rzeczy. Tak że i tak trzeba nazwać cudem to, że w ogóle aż tyle udało się zidentyfikować. Jeżeli chodzi np. o Katyń, to zachowały się listy wywozowe. To znaczy wiadomo, kto jechał do jakiego obozu, w jakiej konkretnej grupie i w których dniach. W Starobielsku jest wyłącznie wykaz jeńców, nie ma żadnych innych danych. (53:00)

Wspomniałem tu prokuratora Śnieżka, dzięki któremu to pierwsze badanie przebiegło. Muszę powiedzieć, że byliśmy bardzo zmartwieni, bo pan Lech Kaczyński przywiózł mi wtedy, jak żeśmy jechali na to zakończenie dymisję. Czemu? No bo jacyś dziennikarze, „obrobili go”, że tak powiem. Napisali, że pije z Ruskimi. Jak miał nie pić z Ruskimi, skoro

inaczej by nie załatwił, żeby w ogóle pozwolili kopać? W związku z tym, przez te nieporozumienia sprawy się mocno opóźniły. Potem spotkaliśmy prokuratora Śnieżkę, nomen omen – w Jerozolimie. [uśmiecha się] Jak byliśmy w ziemi świętej. I pytam się go, bo mimo tego odwołania został przywrócony i dalej prowadził polskie śledztwo. I on mi wtedy powiedział tak:

- Wie pan, dalsze śledztwo miało by teraz sens, gdyby nasi politycy zechcieli się dogadywać z Rosyjskimi politykami, to wtedy może by się udało wydostać dalsze dokumenty, które na pewno tam są. Niestety w tej chwili nie ma takiej woli politycznej, no to ja nie będę teraz firmował śledztwa, które się nie toczy.

Tak że, wie pan, były okresy bardziej przyjazne i takie bardziej... zimne. I to wszystko wpływało...

**PB:** A teraz jaki okres mamy?

**JM:** Teraz nie wiem, czy w ogóle mamy jakiś okres. (55:00)

W ogóle były śmieszne... W takiej sprawie trudno mówić o śmieszności, ale proszę sobie wyobrazić – jedziemy pociągiem wojskowym w 2000 roku na to poświęcenie cmentarza. Pociąg złożony z wielu wagonów, jedzie dużo rodzin i jedzie kompania honorowa. I nasza orkiestra bodajże. Proszę sobie wyobrazić, że na granicy nie pozwolono im wwieźć broni.. [odchyła się w siedzeniu dla podkreślenia absurdu sytuacji] Kompania honorowa, która ma co..? Jak salwę honorową oddać? Na szczęście generał, który był szefem tego całego składu, zadzwonił do prezydenta – wtedy Kwaśniewskiego, że jest taka sytuacja. Przyjechaliśmy do Charkowa, odwożą nas do wioski Pjaticchatki [fonet.ros.55:58] gdzie był taki ośrodek wypoczynkowy, którym pozwolono nam się trochę ogarnąć po podróży i podjęto nas śniadaniem – patrzymy, a tu przyjeżdżają samochody z bronią. Prezydent Kwaśniewski [mówi śmiejąc się] załadował jakąś inną broń i przywiózł nam samolotem. Dzięki temu – ku zdumieniu Ukraińców, nasza kompania znowu wystąpiła z bronią. (56:28)

Wracamy stamtąd, zatrzymaliśmy się w Łucku. Ja mówię do żony – Wiesz co? Wyjdźmy, chociaż trochę pospaceruję po tym peronie, z którego wyruszałem do Polski. Pociąg stoi, my sobie spacerujemy, i słyszę, że podjeżdżają wojskowe samochody. Wybiegają Ukraińcy i krzyczą: - Gdzie wasz generał?! Mówię dziwiąc się – No w tym wagonie. [wykonuje gest wskazywania głową] A im się przypomniało, że go nie przywitani chlebem i solą. I lecą z tym chlebem i z tą solą, kiedy my już wracamy. [śmieje się] I to są takie sprawy, [mówi śmiejąc się] które im się przypomniały po wszystkim. [poważnie] Stosunki są trudne, wiadomo, z Ukrainą zwłaszcza, bo mamy te wojenne zaszłości.

**PB:** A chciałem się zapytać o pana, bo tutaj ta opowieść nam przepłynęła pomiędzy tym okresem wojennym a współczesnością – Pan wspominał, że w końcu wojny, bardziej podejrzewaliście niż wiedzieliście, że ojciec nie żyje, bo znaliście już historię katyńską. Było już wiadomo o Katyniu. Czyli to było takie podejrzenie bardziej, tak? I niepewność. I pana mama żyła z taką niepewnością wiele lat.

**JM:** Mało tego. Pisała do wszystkich możliwych instytucji. Do Szwajcarii do Czerwonego Krzyża, do ambasady polskiej – z ambasady nam odpisano, że „taki się nie zgłosił”. Nawet napisała do swojego wuja, który był przeorem w San Paolo w Brazylii, jezuitów. Bo rozeszła się plotka, że Rosjanie za 10 dolarów wypuszczają. No matka nie miała dolarów, ale wuj odpisał, że nie dysponuje własną kasą [śmieje się] i nie może nas wspomóc. No mama do końca trzymała jeszcze jakąś pelisę ojca, licząc na to, że jak już z tego łagru – jeżeli – przyjdzie to będzie obdarty. No ale tak w miarę upływu lat, ta nadzieja gasła.

**(59:04)**

**PB:** Gdyby pan mógł jeszcze troszeczkę opowiedzieć o powojennych losach własnych i pańskiej mamy.

**JM:** No myśmy byli obywatelami drugiej kategorii. Albo trzeciej. Moja mama podjęła pracę po wojnie, ale już ją skierowano nie do liceum, tylko do zawodowej szkoły. I polecono jej zorganizować internat i stołówkę dla szkoły spółdzielczej. Dzięki temu, myśmy tam dostali pokoik służbowy. A było to urządzane na ulicy Noskowskiego, w tych willach koło opery. Tam przed wojną była klinika okulistyczna, która wchodziła trochę w skład tego szpitala żydowskiego, który był tam, gdzie w tej chwili jest PAN. I w tych budynkach mama organizowała tę stołówkę i internat. A na parterze w tych klasach, była normalna nauka. No ale chyba w 54' roku, oświadczone mamie, że nie ma zapotrzebowania na angielski i niemiecki, bo mama tych dwóch języków uczyła, no i wysłano ją na emeryturę.

**PB:** W jakim wieku?

**JM:** No właśnie. Parę miesięcy potem ZUS przysłał informację, że nie może płacić emerytury, bo nie ma wieku emerytalnego. [uśmiecha się] Na szczęście mama, po zwolnieniu ze szkoły, podjęła pracę jako korektor w PWN-ie, w Wydawnictwach Naukowych. No i dzięki temu mieliśmy za co żyć. **(61:13)**

No ja chodziłem do szkoły. Udało mi się ukończyć najbardziej zasłużone liceum poznańskie, czyli „Maryjkę”, zanim przerwano jego działalność po mojej maturze. Oczywiście po 56' roku, jak wypuścili Gomułkę z więzienia i nastąpiła mała odwilż, to komisja przyznała, że niesłusznie mamę zwolniono, że było zapotrzebowanie i że mogła uczyć, no ale potem już tak „zapychano” nią raczej dziury, aniżeli dawano jej stałe, dobre zatrudnienie, aż do emerytury.

**PB:** Czy wiąże pan fakt zwolnienia mamy z jakąś świadomością, z wiedzą o losach męża?

**JM:** Tak! Myśmy wybitnie... wtedy pierwsza sprawa w ankiecie, poza nazwiskiem, to było pochodzenie. Pochodzenie inteligentkie, to już było złe, no a jeszcze wojskowy, no to już było kompletnie fatalne. Ja też zdałem maturę tylko dlatego, że nie zdążono całkiem skomunizować tego liceum, bo nas uczyli nauczyciele przedwojenni. Nawet fizyk, profesor Węgrzynowicz, sprzed pierwszej wojny. [podkreśla wagę słów tonacją, śmieje się] Stopniowo oczywiście do kadry wpychano działaczy komunistycznych, m. in. Klarę Jędrzejczak, która później była szefem.. tego marksistowskiego uniwersytetu, czy jak to się

nazywało... No ale nie zdążono całej szkoły, w związku z tym zdecydowały się władze, że w 50' tym roku, zawieszono działalność szkoły w ogóle. (63:19)

Ja nie miałem wyboru, bo przecież matka zarabiała niewiele, ja nic [wzrusza ramionami] – poszedłem do wyższej szkoły inżynierskiej. No i po egzaminach, okazało się, że wisały 3 listy. Tych, co zdali i są przyjęci, tych co nie zdali i trzecia lista tych, którzy zdali, ale nie zostali przyjęci z braku miejsc. Oczywiście ja byłem na tej trzeciej liście. Napisałem odwołanie do Ministerstwa, oczywiście otrzymałem grzeczną informację, że mimo wszelkich starań, nie widzą, bo miejsca nie ma i trudno. To napisałem jeszcze jedno odwołanie na ręce ministra – Rapacki był wtedy ministrem, już bez nadziei, że cokolwiek załatwię. I poszedłem porozmawiać – było technikum mechaniczne na placu Bergera, obok Szkoły Inżynierskiej. I tam uzgodniłem, że przyjmą mnie na ostatni rok i będę przynajmniej miał technika. I mam właśnie iść na pierwszą lekcję, a po południu przychodzi do nas jakaś nauczycielka, którą mama skądś tam знаła, ale nie utrzymywała kontaktów. I ona przyszła i mówi:

– A ja przyszedłam panią odwiedzić i porozmawiać. - I w tej rozmowie, mówi:

– Niech się syn jutro zgłosi do dziekanatu. No to ja pędzę rano do tego dziekanatu, sekretarka wyciąga indeks i wręcza mi go. Ja pytam:

– Jak to się stało? A sekretarka mówi – Nie pytaj, tylko idź na wykłady. [gest opadania ramion] No i tak się dostałem. Musiał to moje drugie odwołanie dostać do ręki jakiś urzędnik jeszcze nie bardzo z władzą związany i postanowił mi jakoś pomóc. Pewnie zadzwonił do kogoś znajomego w Poznaniu i tą drogą mnie przyjęto na studia. (65:30)

**PB:** A proszę mi powiedzieć – bo w takich oficjalnych dokumentach, wiadomo – życiorysy, podania? Co pan pisał o ojcu?

**JM:** Zawsze, że zaginął na terenie ZSRR.

**PB:** Czy inni też tak pisali?

**JM:** Nie wiem. Chyba się za bardzo na ten temat nie dyskutowało.

**PB:** A sądzi pan, że ten zapis już naprowadzał władze mimo wszystko o co chodzi?

**JM:** Proszę pana, w czasie studiów mieliśmy jeden dzień w tygodniu zabierany na tzw studium wojskowe. I ja tam czasami podpadłem... może nie za bardzo przestrzegający reguł działania wojska, czasem szedłem na karny apel. Aż któregoś dnia, zawołał mnie pułkownik, który był szefem tego naszego studium i on mi tylko powiedział:

- Słuchaj, wiesz kim był twój ojciec. Nie podskakuj. Bo jesteś na widelcu.

Czyli doskonale wszystko wiedzieli.

**PB:** I nie podskakiwał pn już?



**JM:** Trudno w tym wieku być całkiem uległym, zwłaszcza w czasie – bo nas zabierali przez miesiąc czasu do Biedruska na ćwiczenia. To trudno tam być bardzo uległym. [uśmiecha się] Ale na szczęście naszymi dowódcami byli również nasi koledzy, trochę starsi, którzy mieli już po wojnie jakiś etap służby wojskowej. (67:45)

**PB:** Jeszcze tylko takie jedno pytanie – czy w czasach tego PRL-u, jak i w latach 80-tych, kiedy już troszkę było luźniej, zwłaszcza za czasów pierwszej Solidarności, czy pan się jakoś angażował w jakieś takie inicjatywy upamiętniające ofiary Katynia i Wschodu generalnie?

**JM:** Inicjatyw do czasu Solidarności raczej sobie nie przypominam. Były jakieś msze powiedzmy, to się chodziło, ale jakichś innych inicjatyw nie było. Sprawy Katynia były raczej mocno przyciemniane, przytłaczane. Dopiero jak Solidarność zaczęła działać szerzej, to wtedy ta pamięć była dopiero głośniejsza ...[kultywowana]

**PB:** Pamięta pan jakiś przykład? Bo wiem o wystawie, która była np. na dworcu zorganizowana przez ludzi Solidarności. Wystawa o Katyniu.

**JM:** Jeżeli chodzi o wystawę, to myśmy z żoną przygotowali pierwszą wystawę w poznańskiej szkole, a odbyła się ona w V LO, tutaj..[wykonuje gest głową za siebie]

**PB:** Kiedy to było?

**JM:** [pyta żonę] Aniu to był rok 89'? [głos żony: - Może, ja już nie pamiętam] Tak, 89'. Wiem, że to była pierwsza wystawa w szkole tutaj zorganizowana. Później było więcej. Np. pamiętam wielką wystawę w szkole 44 na Batorego, kiedy szkoła zmieniała patrona z Wojska Ludowego na Wojska Polskiego, to tam też robiliśmy wystawę. (49:48)

Potem już w Stowarzyszeniu Katyń, robiliśmy wystawy w różnych miejscach, jak tylko ten temat był wywołany. No i przede wszystkim podjęliśmy działania w tym Stowarzyszeniu Memoramus, to bardzo ważna moim zdaniem działalność. Szkoły się w to włączyły bardzo energicznie.

**PB:** I to będzie nieść przyszłość, tak?

**JM:** Nam zależy na tym, żeby ta sprawa nie była jakimś „dołem nie do przebycia” między nami a innymi narodami, bo to przecież nie wina narodów, tylko ustrojów politycznych. Przecież co tu dużo mówić – Rosjan tam leży 20 milionów. Tam nie ma rodziny, która by nie poniosła strat w tym czasie.

**PB:** Bardzo dziękuję, myślę, że to jest ładna puenta.

**Koniec nagrania – długość – 72 min**

